GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

WARSZAWA, 15 LUTEGO 1938 R.

Nr. 4 ROK VIII

CENA NUMERU ZŁ. 0.90 PRENUMERATA KWARTALNA 4. ZŁ. 50 GR.

GOSPODARKA NARODOWA

NIEZALEŻNY DWUTYGODNIK GOSPODARCZY

Nr. 4

1938 R.

15 — II

KOMITET REDAKCYJNY:
CZESŁAW BOBROWSKI, HENRYK GRENIEWSKI, WACŁAW JASTRZĘBOWSKI, TADEUSZ ŁYCHOWSKI, JÓZEF PONIATOWSKI, WITOLD PTASZYŃSKI, KAZIMIERZ SOKOŁOWSKI, ZYGMUNT SZEMPLIŃSKI, JACEK RUDZIŃSKI redaktor

CZESŁAW BOBROWSKI

PRZEŻYTEK

Podział poglądów polityczno - gospodarczych na liberalne oraz interwencjonistyczne jest podziałem przestarzałym, nieprzydatnym dla orientowania się w rzeczywistej treści stanowiska, zajmowanego przez poszczególnych polityków gospodarczych.

Człowiek, który wszedł do sklepu i chce w szybki i łatwy sposób sklasyfikować znajdujące się w nim przedmioty, najprawdopodobniej zbuduje klasyfikację na podstawie jakiejś *jednej* cechy, którą ogół przedmiotów znajdujących się w sklepie posiada lub nie posiada. Stwarza on klasyfikację dwudzielną. Dajmy na to podzieli przedmioty na kolorowe i bezbarwne. W krótkim czasie klasyfikacja taka okaże się niedogodna, nie dość jasna. Okaże się, że klasa przedmiotów bezbarwnych jest bardzo nieliczna, natomiast przedmiotów kolorowych jest tyle i są one tak różnorodne, że zaliczenie ich do jednej klasy nie da przejrzystości inwentarza magazynu. Okaże się też, że właściwie nie wiadomo jakie przedmioty należy zaliczyć do klasy bezbarwnych. Czy należą tam tylko te, które są zawsze, bez względu na oświetlenie bezbarwne, czy również i te, które w pewnym określonym świetle nabierają koloru. Równocześnie w zbyt licznej grupie przedmiotów kolorowych trzeba będzie wprowadzić pewne rozróżnienie, a więc np. odróżnić przedmioty jednobarwne od wielobarwnych, przedmioty wykonane z kolorowego tworzywa od bezbarwnych lecz pomalowanych, przedmioty o stałej barwie od przedmiotów o kolorze zmiennym itd. itd. W rezultacie dwudzielny podział na przedmioty bezbarwne i kolorowe pryśnie, natomiast przy pewnym wysiłku da się zapewne uznać niektóre rozróżnienia za mniej doniosłe, inne za ważniejsze i opracować nową klasyfikację, opartą o *szereg* kombinowanych ze sobą cech.

Przy powierzchownym, wstępnym zapoznaniu się z pewnym zagadnieniem, zadawalniamy się zwykle jakąś prostą, nieskomplikowaną formułą (definicją, klasyfikacją). Pogłębienie znajomości rzeczy, a przede wszystkim nacisk potrzeb praktycznych, zmuszają nas do ustawicznego modyfikowania, komplikowania formuły, aż wreszcie uprzytamniamy sobie, że usiłując dostosować pierwotną formułę do rzeczywistości, zatraciliśmy całkowicie pierwotną prostotę. I wtedy zjawia się potrzeba zbudowania nowej teorii czy klasyfikacji, łączącej w sobie ścisłość formuł złożonych i jasność formuł prostych.

Tak oto wygląda droga poznawania pewnego zagadnienia. Od prostoty, poprzez złożoność, z powrotem do prostoty.

*
* *

Tradycyjnym podziałem dwudzielnym w odniesieniu do kierunków polityki gospodarczej jest podział na interwencjonizm i liberalizm. Podział ten ma za sobą nie tylko tradycję lecz i spopularyzowanie terminów „liberalizm" i „interwencjonizm" wśród najszerszych warstw. Utrzymywaniu się tego podziału sprzyja często deklarowanie się niektórych polityków gospodarczych jako liberałów, innych zaś jako interwencjonistów. Tem niemniej sądzę, że podział ten jest dziś pozbawiony wszelkiej wartości praktycznej, a nawet (przez to, iż wnosi szereg nieporozumień) wyraźnie szkodliwy.

Jakie poglądy należało by zaliczyć do klasy „poglądy liberalne"? Czy jest liberałem polityk, który nie oczekuje żadnych korzyści gospodarczych od interwencjonizmu, lecz uważa, że momenty socjalne i polityczne powinny stale brać górę nad przesłankami gospodarczemi i skłaniać do ciągłego ingerowania państwa w życie gospodarcze? Czy jest liberałem ten, kto w obliczu smutnego dlań, lecz niezaprzeczalnego faktu, że szereg państw wkroczyło w sposób trwały na drogę wyraźnie interwencjonistycznej polityki, uważa — pozostając w zasadzie liberałem — za konieczny interwencjonizm obronny i retorsyjny? Czy jest liberałem ten, kto uważa, że pozagospodarcze zadania państwa wymagają trwałego, poważnego obciążenia życia gospodarczego, co nie może pozostać bez wpływu na dynamikę i kierunek rozwoju życia gospodarczego i wobec tego uznaje za lepsze planowe i świadome kształtowanie tego wpływu niż jego przypadkowość? — Czy wreszcie jest liberałem polityk, który w zasadzie pragnąłby widzieć na świecie stuprocentowy laissez-faire'yzm, uznaje jednak interwencję państwa za konieczną z chwilą, kiedy pewna zorganizowana grupa podmiotów gospodarujących stwarza reglamentację prywatną, t. zn. polityk, który domaga się interwencjonizmu w celu przywrócenia warunków liberalnych? — Kwestia umowy. Wielu polityków, zajmujących scharakteryzowane wyżej stanowiska, obstaje przy uznawaniu ich za liberałów.

Któż więc ostatecznie jest naprawdę liberałem? Byłby nim napewno ten, kto by sądził, iż państwo powinno się powstrzymać od jakiejkolwiek ingerencji w życie gospodarcze, w każdym wypadku, bez względu na warunki i okoliczności. Nie zdaje mi się jednak, ażeby można było wskazać choć jedno nazwisko zwolennika tego rodzaju poglądów. A może należało by uznać za liberała tego, kto wolałby, aby na świecie istniały warunki, pozwalające na prowadzenie polityki liberalnej, i kto wierzy, że takie warunki mogą kiedyś powstać.

Wszelka, a więc i taka klasyfikacja jest dopuszczalna. Chodzi tylko o to, czy i dla jakich celów jest pożyteczna. Tego rodzaju określenie liberała łączyłoby na skutek jednolitości zdań na temat, co należałoby robić w bliżej nieokreślonym *„kiedyś"*, w jednej grupie bardzo niejednorodne poglądy na to, co *dziś* należy w polityce gospodarczej robić. Słowem tego rodzaju klasyfikacja może być przydatna pod kilkoma kątami widzenia, dla orientacji w dzisiejszych tendencjach polityki gospodarczej jest bezużyteczna. Przy stosowaniu tej klasyfikacji w grugie „poglądy liberalne" i w klasie „poglądy interwencjonistyczne" znajdziemy takie same poglądy na bieżącą politykę gospodarczą, przy odmiennej tylko ich motywacji. Klasyfikowanie poglądów według motywów, jeśli są to motywy z teorii lub historii gospodarczej, jest zajęciem pożytecznym, ale oczywiście nie może górować nad innymi kryteriami podziału, a nie zapominajmy o tem, że wśród motywów odnajdujemy również i takie, które mają charakter psychologiczny, często irracjonalny.

Reasumując, jeśli pojęciem polityka „liberalna" operować będziemy w sposób względnie ścisły, nawiązując je do poglądów danego polityka na dzisiejsze zadania państwa w życiu gospodarczym, to klasa „poglądy liberalne" okazuje się klasą pustą, jeśli natomiast pojęcie to rozszerzymy, to otrzymamy coś bardzo nieprzejrzystego i mało pożytecznego.

Jak sobie potocznie radzimy z tą sprawą? Dwojako, ale zawsze w bardzo uproszczony sposób. Zaliczamy do liberałów tych polityków, którzy niechętnie robią koncesje na rzecz interwencjonizmu od swego doktrynalnie liberalnego stanowiska, nie uwzględniając przy tem, że często ci, którzy wykazują najwięcej niechęci do koncesji, robią niekiedy najdalej idące koncesje. Za politykę liberalną uznajemy taką, która stosuje środki działania uświęcone tradycją interwencjonizmu, natomiast napewno nazwę skrajnego interwencjonizmu uzyskają działania państwa wtedy, kiedy dotyczą nowej, nietkniętej dotychczas przez interwencjonizm dziedziny, lub operują nowymi środkami. Niepomiernie mniejsze znaczenie ma w tych wypadkach kwestia, czy działania interwencyjne obejmują mniej czy więcej szeroki odcinek życia gospodarczego i działają z mniejszą czy większą siłą. W epoce, kiedy rozwijały się dopiero zakazy przywozu, przy wieloletniej tradycji ochrony celnej opinia była skłonna widzieć w zakazach przywozu znamię szczególnego zaawansowania danego kraju w kierunku polityki interwencyjnej, mimo, że gra ceł w początkowym okresie zakazów przywozu była niepomiernie silniejsza i miała niepormiernie silniejszy zakres. Skolei po rozpowszechnieniu się zakazów wywozu opinia skłonna jest uważać reglamentację za tego rodzaju odstępstwo od liberalizmu, które może być już tolerowane, natomiast np. stworzenie monopolu importowego dla jakiejś grupy artykułów będzie dla niej miało posmak wielkiego kroku w kierunku wzmagania ingerencji państwa.

Nie lepiej dzieje się w klasie „interwencjonizmu". Do klasy tej zaliczamy bowiem tak wielką liczbę poglądów i tendencyj, że skrajne z nich można uważać za wzajemnie przeciwstawne, Interwencjoniści między sobą mogą się różnić i różnią się w istocie zakresem i rodzajem celów, w imię których uznają za potrzebną ingerencję państwa — wyborem środków działania i poglądami na możliwości osiągnięcia mniejszych lub większych rezultatów. Cele interwencjonizmu mogą być przede wszystkim celami pozagospodarczymi lub gospodarczymi. W pierwszym wypadku wolno być interwencjonistą, jeśli się nawet nie wierzy w gospodarczą wydajność polityki interwencjonistycznej, w drugim ktoś nie wierzący w wielką skuteczność działań interwencyjnych, lecz propagujący interwencjonizm, musi w każdym poszczególnym wypadku zestawiać myślowo bilans strat i korzyści. W zakresie celów gospodarczych na jednym skrzydle znajdziemy zadanie dla interwencjonizmu najwęższe, a więc przywracanie swobodnej gry sił ekonomicznych, interwencjonizm obronny i retorsyjny, na drugim koncepcje gospodarki planowej. I ta jednak koncepcja nie jest czemś jednolitem. Wolno bowiem mniemać, że dla kierowania całokształtem życia gospodarczego nie jest bynajmniej konieczne wpływanie na wszystkie procesy gospodarcze, że wystarczy uzyskać wpływ na pewną grupę procesów, uznanych za kluczowe. W tym wypadku gospodarka planowa nie będzie wcale synonimem regulowania całego życia gospodarczego, lecz raczej da się określić jako polityka sztucznego uruchamiania procesów gospodarczych, przebiegających dalej już w sposób au-

tomatyczny (quasi-automatyzm gospodarczy, jeśli się tak wyrazić można).

Pod względem środków działania dają się rozróżnić trzy podstawowe grupy. Nakaz państwa, stwarzanie przez państwo warunków gospodarczych, wpływających na przebieg tych procesów, którymi się chce pokierować, i wreszcie bezpośrednie podejmowanie przez czynnik publiczny określonych zadań gospodarczych.

Wewnątrz każdej z tych grup znowu odnajdujemy szereg bardzo różnorodnych możliwości. Nakaz, to niekoniecznie ustawa, to w niektórych krajach i okresach czasu zalecenie, czy doradztwo w stosunku do przedsiębiorcy prywatnego. To kiedy indziej i gdzie indziej organizowanie przedsiębiorstw tak, by poprzez ich organizację nie wydając bezpośrednich dyspozycji, osiągać zamierzone cele. Wpływanie na warunki także przybiera rozmaite formy. Można tworzyć określone ramy działania dla wszystkich przedsiębiorców w danej dziedzinie (cła) można też ograniczyć je do wybranych (koncesjonowanie). Największa różnorodność panuje w trzeciej dziedzinie. Od szeregu lat zainteresowanie opinii zostało świadomie czy mimowoli skierowane ku t. zw. przedsiębiorstwom etatystycznym, przy czem do tej grupy zaliczane są przedsiębiorstwa, stanowiące własność państwa. Nie jestem w stanie rozwijać tego tematu szerzej. To też ograniczę się do podkreślenia, że przedsiębiorczość etatystyczna w podanym wyżej znaczeniu nie jest nie tylko jedyną, ale być może nie jest nawet najważniejszą postacią gospodarczego działania ciał publicznych. Nie tylko dlatego, że jak wiemy samorząd terytorialny jest wielkim przedsiębiorcą (coprawda głównie w zakresie t. zw. przesiębiorstw użyteczności publicznej lecz i dlatego, że pod względem treści i roli gospodarczej bardzo mało, a niekiedy wcale od przedsiębiorczości państwowej nie różni się przedsiębiorczość, że się tak wyrażę, społeczna.

Wartość i sprawność poszczególnych narzędzi pracy interwencjonizmu państwowego jest bardzo rozmaicie w poszczególnych krajach i przez poszczególnych polityków gospodarczych oceniana.

Za najistotniejsze uważam różnice, jakie pomiędzy poszczególnymi zwolennikami interwencjonizmu istnieją w zakresie oceny skuteczności ingerencji państwa w życie gospodarcze, a w związku z tem różnice w ocenie możliwości zasięgu interwencjonizmu. Najdalej idą tu ci, którzy mniemają, iż t. zw. gospodarka planowa pozwala bez mała na osiąganie każdego dowolnego celu gospodarczego. Pogląd ten składa się właściwie z dwu elementów: z przekonania o możliwości bezkryzysowego rozwoju życia gospodarczego i z przekonania, że gospodarka planowa otwiera dla życia gospodarczego perspektywy niedostępne w warunkach swobodnej gry sił ekonomicznych. Można podzielać ten drugi pogląd, a nie podzielać pierwszego. Można nawet — aczkolwiek trudniej — wyobrazić sobie kogoś, który zgodzi się z pierwszym, a nie zgodzi się z drugim. Na przeciwnym skrzydle wachlarza poglądów znajdą się ci zwolennicy interwencjonizmu, którzy mniemają, że w zasadzie można osiągnąć wiele w drodze ingerencji państwa w życie gospodarcze, ale tylko pod warunkiem, iż państwo ograniczy się do regulowania niektórych dziedzin czy procesów szczególnie do tego się nadających. Stanowisko to może być jeszcze zaostrzone twierdzeniem, że wprawdzie cel poszczególny da się na drodze interwencjonizmu w sposób skuteczny osiągnąć, ale odbędzie się to zawsze z uszczerbkiem dla celu ogólnego, jakim jest stały wzrost dochodu społecznego. Po środku, pomiędzy scharakteryzowanymi wyżej skrajnymi poglądami, znajduje się obszerna bardzo liczba wariantów, uzależniających ocenę skuteczności interwencjonizmu od wyboru narzędzi działania, od warunków politycznych, od samorzutnego współdziałania społeczeństwa z państwem itp. itp.

Otóż, jeśli stwierdziliśmy, że pomiędzy interwencjonistami istnieją tak duże różnice odnośnie celów, środków i skuteczności działania ingerencji państwowej, że w każdym wypadku rozróżnić można co najmniej kilka, jeśli nie kilkanaście wariantów i jeśli równocześnie weźmiemy pod uwagę możliwość różnego kombinowania ze sobą wariantów z każdej dziedziny, to dochodzimy do wniosku, że dla jakiej takiej klasyfikacji interwencjonistów musielibyśmy stworzyć kilkadziesiąt klas. Jest to tem ważniejsze, że, wyrażając się językiem potocznym, można wyznawać poglądy bardzo krańcowe pod jednym względem, a bardzo umiarkowanie interwencjonistyczne pod innym. Np. ktoś, co nie wierzy w sprawność gospodarczą polityki państwowej, w dużą skuteczność interwencjonizmu, może jednocześnie z przyczyn pozagospodarczych domagać się jednak jak najszerszego interwencjonizmu. Ktoś inny, stawiając interwencjonizmowi bardzo daleko idące cele i uznając za dobry cały szeroki repertuar środków, może jednak mniemać, że skuteczność interwencjonizmu zależna jest np. od znacznego nasilenia dynamiki społecznej i uważać w danym okresie czasu, dla danego państwa szeroki interwencjonizm za niewłaściwy. Itd. itd. Nie ma nic łatwiejszego, niż mnożyć przykłady różnorodnej postawy interwencjonistów.

W tych warunkach, jeśli o klasie „poglądy liberalne" powiedzieliśmy, że właściwie jest pusta, to o klasie „poglądy interwencjonistyczne" powiedzieć musimy, że jest zbyt obszerna, aby była przydatna. Interwencjonista to najczęściej etykietka bez treści, przyczepiana pewnym poglądom bądź dla zdobycia popularności w pewnych kołach, bądź dla zdepopularyzowania w innych. Oczywiście przy braku innej klasyfikacji nawet do tej ułomnej uciekać się nieraz musimy.

Na czem można byłoby oprzeć przydatniejszą, a jednocześnie prostszą klasyfikację poglądów. Zaznaczę to tylko szkicowo. Należało by oprzeć się mianowicie na następujących kryteriach: 1) jaką rolę w polityce gospodarczej według danego kierunku myślenia przeznacza się celom pozagospodarczym? 2) jak ustala się związek pomiędzy własnością a prawem dyspozycji? 3) jak ocenia się wartość poszczególnych narzędzi polityki gospodarczej państwa? 4) jak ocenia się możliwości umysłu ludzkiego w zakresie przewidywania przebiegu procesów gospodarczych?

TADEUSZ ŁYCHOWSKI

MOŻLIWOŚCI KONIUNKTURALNE

Rozwój koniunktury w Polsce jest o wiele mniej zależny od wahań koniunktury światowej niż przed wprowadzeniem ograniczeń dewizowych. W tych warunkach koniunktura wewnętrzna jest w dużej mierze funkcją polityki gospodarczej.

Zwyżka koniunktury w Polsce była — jak to wielu u nas konstatuje z nazbyt może już akcentowanym zadowoleniem — szybsza w 1937-ym roku niż w całym szeregu innych krajów świata. Jeśli za kryterium weźmiemy tutaj wskaźnik produkcji przemysłowej, to istotnie wzrost wskaźnika tego na przestrzeni ub. roku o przeszło 12% wykazuje szybsze tempo wzrostu nawet od Niemiec, gdzie od grudnia 1936 r. do grudnia 1937 r. wzrost był mniejszy. Wyścig jest wygrany w tym wypadku o tyle łatwiej, iż, jak dobrze wiadomo, linia koniunkturalna w wielu krajach świata poczęła od połowy r. ub. ulegać wyraźnemu załamaniu. Nie mówiąc już o Stanach Zjednoczonych, gdzie spadła ona od maja r. ub. do końca roku o przeszło 20%, nawet w stosunkowo najbardziej odpornej koniunkturze brytyjskiej zachwianie się jest zupełnie widoczne. Taki jednak obraz sytuacyjny może powodować zupełne zaciemnienie istoty rzeczy. Mówiono to zresztą już nieraz, ale powtarzać trzeba to nadal i stale, że koniunktura w Polsce rozpoczęła się ze znacznym *opóźnieniem* w stosunku do całego szeregu innych organizmów gospodarczych i że kulminacyjny punkt jej rozwoju przypada właśnie na ten moment, kiedy koniunktury inne zdradzają już wyraźne objawy wyczerpywania się. Co więcej, spadek linii koniunkturalnej w Polsce w latach depresji był o wiele *głębszy* niż we wszystkich prawie innych krajach (z wyjątkiem, może, deflacyjnego okresu Niemiec z przed okresu objęcia władzy przez Hitlera) tak, iż droga „do odrobienia" wzwyż jest u nas większa niż gdzie indziej. Jeśli — przykładowo — wskaźnik przemysłowy Wielkiej Brytanii wyniósł w 1932 r. tylko o 12% mniej niż w 1928 r., a w tymże okresie w Polsce różnica wynosiła 46%, rozpiętość sytuacji jest zupełnie jasna. I, jeśli w okresie „pokryzysowym" (w pojęciu zachodnio - europejskim), a więc w latach 1932 — 1935 zwyżka tego wskaźnika w Wielkiej Brytanii wyniosła przeszło 27%, podczas gdy u nas zaledwie 22%, różnica w tempie początkowym rozwoju staje się również widoczna.

W tego rodzaju opóźnieniu rozwoju koniunkturalnego nie ma absolutnie niczego anormalnego. Wynika ono wyłącznie z kierunku polityki gospodarczej, prowadzonej przez nas od samego początku depresji. Wiadomo doskonale, iż każda polityka polega przede wszystkim na ustaleniu hierarchii celów i koniecznych do wykonania ich środków. W polityce gospodarczej — jak w każdej innej polityce — osiągnięcie jednego celu płaci się z konieczności poświęceniem innego. Dyskusja na ten temat, czy hierarchia ustalona jest właściwie, wykracza stanowczo poza obręb samej polityki gospodarczej — i staje się dyskusją polityczną tout court... Jedno, co można już obecnie powiedzieć, iż przesłanki za prowadzeniem w Polsce takiej właśnie a nie innej polityki były obiektywnie wiele silniejsze niż w każdym chyba innym kraju na kuli ziemskiej.

Charakterystyczną cechą polskiej polityki gospodarczej w okresie depresji i nawet w chwili obecnej było — mirabile auditu dla wszystkich tych, którzy takie gromy miotają na rodzimy nasz interwencjonizm — *brak sięgającego do głębi polityki gospodarczej interwencjonizmu.* Przyznajemy, że twierdzenie to napozór brzmi paradoksalnie, ale niemniej jednak odpowiada ono całkowicie naszej rzeczywistości. Tak jest: polityka gospodarcza Polski była i jest nadal *możliwie jaknajbardziej liberalna.* Na wszystkie zaprzeczenia, jakie już w tej chwili słyszymy, kiedy piszemy te słowa, odpowiadamy: jeśli określamy politykę tę jako „możliwie jak najbardziej liberalną", chcemy przez to powiedzieć, iż *punktem wyjścia* była w polityce tej chęć utrzymania kierunku zbliżonego jaknajbardziej do liberalizmu i że wszelkie odchylenia od kierunku tego (a jest ich jak dobrze wiadomo — legion...) dyktowane były *przede wszystkiem* koniecznościami z zewnątrz. W wyniku tego polski interwencjonizm ma wizerunek niezmiernie różnolity, niezmiernie nieskoordynowany czasowo, nieprzedstawiający sobą żadnej ciągłej linii, a w pierwszym rzędzie — jest *płytki* tj. sięgający tyle tylko wgłąb życia gospodarczego, ile tego było koniecznie w danej chwili potrzeba. Nie potrzebujemy dodawać, iż w poszczególnych punktach poszedł on, być może, i głębiej, ale wyjątki te potwierdzają tylko regułę.

Interwencjonizm w krajach innych, jak powiadamy, był o wiele głębszy. że przybrał on formy częstokroć o wiele mniej kłopotliwe dla jednostki gospodarującej, nie zmienia to w niczem faktu, iż *w gruncie rzeczy* oddziałał on na rozwój koniunktury gospodarczej o wiele silniej niż to miało miejsce w Polsce. Tyczy się to przede wszystkim krajów, które były w możności i chciały zastosować interwencjonizm w głównej mierze w swej polityce pieniężnej. Manipulacje monetarne są interwencjonizmem, sięgającym do głębi organizmu gospodarczego na równi z najbardziej „związaną" gospodarką kraju totalistycznego. Formy zewnętrzne są biegunowo różne — ale sens jest identyczny. Zarówno jeden jak i drugi system interwencji jest *czynny i ofensywny* tj. nie broni życia gospodarczego przed atakami dekoniunktury, ale atakuje ją sam. Pod tym względem p. Morgenthau, wypuszczający ostatnio ze „sterylizacji" część złota w Stanach Zjednoczonych, sir John Simon, rozluźniający „embargo" na pożyczki zagraniczne na rynku londyńskim, czy którykolwiek

z „dyktatorów”, reglamentujący nową gałąź przemysłu, zarządzający wielkie roboty publiczne, albo „zagospodarowujący” się surowcowo poprzez namiastki i skomplikowane rozrachunki clearingowe — robią toż samo. Różnica leży tylko w tem, iż interwencjonizm w krajach, posiadających znaczne rezerwy, *może* być ograniczony do stosunkowo mało kłopotliwej dla ogółu dziedziny monetarnej, podczas gdy w krajach bez rezerw, o ile chce być czynny, musi zamienić się w „związanie” gospodarstwa nieomal bez reszty.

*

* *

Wyniki owego „czynnego” interwencjonizmu odbiły się wyraźnie na rozwoju koniunktury w poszczególnych krajach. W Wielkiej Brytanii i krajach „bloku sterlingowego” manipulacje pieniężne przyniosły już od 1933 r. stały i szybki wzrost koniunktury, sięgający, jeśli chodzi o Wielką Brytanię, z górą 33% jej poziomu kryzysowego (jak mówiliśmy — niezbyt zresztą jeszcze obniżonego w stosunku do poziomu przedkryzysowego), jeśli chodzi o niektóre kraje skandynawskie — przekraczającego nawet niejednokrotnie 40% tego poziomu. Jeśli rozwój koniunktury w Stanach Zjednoczonych był znacznie wolniejszy, we Francji zaś (po dewaluacji) nie było go właściwie prawie wcale, przypisać to należy, oczywiście, czynnikom raczej poza-gospodarczym, wpływającym na stosowanie *obok* interwencjonizmu pieniężnego jeszcze i innego, często niwelującego skutki pierwszego. W krajach, które na skutek braku rezerw interwencji monetarnej prowadzić nie mogły, koniunktura została dźwignięta impulsami innymi. W Niemczech drogą zbrojeń i wielkich robót publicznych wskaźnik produkcji przemysłowej jest w tej chwili na poziomie przeszło o 100% wyższym niż w 1933 r. We Włoszech wskaźnik produkcji przemysłowej znajdował się pod koniec r. ub. na poziomie prawie o 50% wyższym niż przed czterema laty, przekraczając w ten sposób prawie o jedną piątą poziom 1928 r. Na Węgrzech okres 1933 — 1937 r. przyniósł wzrost produkcji przemysłowej o przeszło dwie trzecie, co znów wyprowadziło ją pod koniec r. ub. na poziom prawie o połowę wyższy niż w 1927 r. Tego właśnie typu kraje dłużnicze musiały, oczywista, dla osiągnięcia tego celu poświęcić bardzo wiele z innych dziedzin swego życia gospodarczego, a przede wszystkiem radykalnie „zepsuć” swoją walutę i poderwać silnie swe potencjalne możliwości kredytowe za granicą, nie mówiąc już o bardzo silnej ingerencji władzy publicznej w każdą komórkę nieomal poszczególnych organizmów gospodarczych.

Uwagi powyższe pozwalają nam bardzo wyraźnie rozróżnić charakter koniunktury naszej i wielu innych krajów. Wszędzie nieomal została ona „nakręcona” impulsami polityczno - gospodarczymi lub polityczno - pieniężnymi, podczas gdy u nas *w trzonie swym* zachowała przecież charakter raczej samorzutny. Jasne jest, iż rozmiar jej jest mniejszy ilościowo od koniunktur bardziej „sztucznych” — i czasowo rozpocząć się musiała w tych warunkach później.

Przechodzimy nareszcie do pytania, stanowiącego właściwy temat naszego artykułu. Wiemy już, iż koniunktura w krajach, stosujących interwencjonizm poprzez politykę pieniężną, zachwiała się pod koniec r. ub. dość wyraźnie. Cokolwiek można by mówić optymistycznego na temat przejściowości i słabości powstałej w ten sposób recesji, pewne jest przecież, iż impulsy, jakie dano gospodarstwu narodowemu w tych krajach przed czterema laty, nie wystarczają na dłużej. Że przy tem plączą się jeszcze zagadnienia inne — i niemniej ważne (jak zatargi pracy z kapitałem we Francji i spór rządu z kapitałem w Stanach Zjednoczonych), nie zmienia to jednak faktu, iż i Anglia, która przecież pozbawiona jest tych wewnętrznych niepokojów, wykazuje jednak wyraźne obniżenie się linii koniunkturalnej. Powstaje teraz pytanie, czy ten wstrząs linii koniunktury „światowej”, za jaką słusznie zresztą uważa się koniunkturę dwu największych krajów anglosaskich i ich gospodarczych satelitów, może zaważyć na rozwoju koniunktury w krajach, które przez fakt szerokiego interwencjonizmu administracyjnego oderwały się w mniejszej lub większej mierze od tej koniunktury i stworzyły sobie bądź odpowiednie impulsy koniunkturalne „pod zamkniętym kloszem” swej autarkii, bądź odczekały — jak Polska — na koniunkturę wewnętrzną bardziej samorzutnego charakteru?

Aby na pytanie to odpowiedzieć, trzeba najprzód zdać sobie sprawę, czy i o ile rozwój koniunktury „światowej” wpływa na linie koniunkturalne krajów „zamkniętych”. Że wpływa na nie pośrednio — to pewne. Dla Niemiec czy Włoch bynajmniej nie jest rzeczą obojętną, jak kształtować się będą np. ceny surowców, importowanych przecież nadal przez oba te organizmy z zagranicy — wbrew hasłom autarkicznym. Nie może być dla rozwoju tych wewnętrznych i odseparowanych koniunktur obojętna pojemność rynków „wolnych” na ich własne wytwory, sytuacja pieniężna na tych rynkach itd. itd. Ale dotychczasowe doświadczenia stwierdziły jednak niezbicie, iż *bezpośredniego* wpływu rozwój koniunktur w krajach, stosujących interwencjonizm pieniężny, na kraje o interwencjonizmie administracyjnym miał niewiele. Nie jest wprawdzie obojętną rzeczą dla Niemiec fakt uzyskania — niewątpliwie w dużej mierze naskutek koniunktury w krajach „wolnych” — dodatniego bilansu handlowego, podreperowującego im nieco wyczerpane zapasy dewizowe, ale faktem jest, iż w 1936 r. wartość niemieckiego wywozu była zaledwie o ok. jedną siódmą wyższa niż w 1934 r., a saldo dodatnie powstało m. in. również naskutek ograniczenia wartości przywozu do Niemiec. W krajach rolniczo-surowcowych związek ten jest już wyraźniejszy. Fakt, iż taka np. Argentyna mogła przejściowo wzmóc bardzo silnie wartość swego wywozu na skutek zwyżki cen zbóż, że bilans handlowy Węgier poprawił się znakomicie, że taka Łotwa, posiadająca w 1935 r. ujemny bilans handlowy, miała ostatnio prawie 20%-ową nadwyżkę wywozu, znaczy bardzo wiele. Ale decydującym momentem jest przecież stwierdzenie, iż przed ostatnią zwyżką cen, a więc zupełnie niezależnie od niej, potrafił cały szereg krajów „ubogich” podnieść swą linię koniunkturalną — zupełnie niezależnie od zwyżki koniunktury w krajach „bogatych”. Wpływ koniunktury tej na kraje „ubogie” istnieje — ale o niej nie decyduje...

Stąd — a contrario — wniosek: należy spodziewać się w krajach, operujących szeroko rozwiniętym interwencjonalizmem administracyjnym utrzymania się na ogół linii koniunktury *niezależnie* od tych czy innych losów koniunktury „światowej". Niewiadomo zresztą, czy koniunktura ta nie otrzyma znów jakiegoś większego „zastrzyku" z dziedziny polityki pieniężniej, zezwalającej jej na przetrwanie jeszcze przez pewien czas. A może nawet ziszczą się marzenia tych, którzy wierzą w odbudowę gospodarstwa światowego na szerszej płaszczyźnie drogą takich posunięć, jak proponowane przez p. van Zeelanda — lub podobne...

Ale, gdyby nawet rynki „wolne" uległy w najbliższej przyszłości atakowi mniej lub więcej daleko posuniętej recesji, nie wydaje się, aby *koniecznie* musiały za tem pójść analogiczne objawy na rynkach zamkniętych. Raczej trzeba się liczyć, iż na tych ostatnich recesja może pokazać się wówczas, kiedy — niezależnie od koniunktury światowej — wewnętrzne impulsy, które dźwignęły koniunkturę, poczną się wyczerpywać. Już w tej chwili w Niemczech np. nie idzie o dalszy rozwój linii koniunkturalnej, ale przede wszystkiem o jej utrzymanie mniejwięcej na obecnym poziomie. Polska w tych warunkach może liczyć nadal, iż jej rozwój koniunkturalny będzie szedł jak dotąd powoli w górę — bez względu na wahania się koniunktury rynków „wolnych". Koniecznymi założeniami jednak tego nieskrępowanego powolnego rozwoju musi być jak najpilniejsze czuwanie na wszystkich tych odcinkach, gdzie gospodarstwo nasze styka się z rynkiem międzynarodowym, i wkraczanie w razie potrzeby z dalszymi elementami izolacyjnymi i reglamentującymi całokształt lub poszczególne odcinki tego „frontu". Gdyby chodziło nam w obliczu zadań wewnętrznych o wywołanie czy to szybszego ożywienia, czy to przedłużenia — wbrew dłużej już działającym siłom zewnętrznym — normalnego tempa naszej zwyżki koniunkturalnej, pozostają nam zawsze jeszcze te wszystkie impulsy sztuczne, których dotychczas wykorzystać nie chcieliśmy, płacąc za to nawet ceną opóźnienia i wolniejszego rozwoju naszej koniunktury. W tym wypadku więc mamy jeszcze w przeciwieństwie do wielu innych krajów, znajdujących się w sytuacji podobnej do naszej, niewygrane jeszcze atuty, których one w większości już nie posiadają. Tak czy inaczej, nie wydaje się, aby groźba załamania się u nas linii koniunkturalnej mogła być w czasie, który możemy ogarnąć bardziej ścisłymi przewidywaniami, do pomyślenia.

DYSKUSJA O PŁACACH

POZIOM PŁAC A DOCHÓD SPOŁECZNY

Punktem wyjścia rozumowania p. J. Poleszuka w art. p. t. „Niektóre aspekty zagadnienia płac". (G. N. 1/38) jest stwierdzenie, że „najlepszy jest taki poziom i układ płac, przy którym w danych warunkach miejsca i czasu zapewiony będzie najsilniejszy wzrost dochodu społecznego". Jest to więc górna, optymalna z punktu widzenia gospodarczego granica poziomu płac; dolną granicę w pojęciu Autora stanowi motyw społeczno-gospodarczy, przy czem jako niezadawalający stan rzeczy uznaje on taki układ płac, który by prowadził i zmuszał do niepokojów społecznych. Nie zamierzam w tej chwili rozpatrywać słuszność takiego ustalenia dolnej granicy poziomu płac i ograniczę się do poruszenia kilku momentów, związanych z zagadnieniem ich granicy górnej. Za wspólny punkt wyjścia przyjmuję ustalone przez Autora optimum gospodarcze, tj. dążność do zapewnienia najsilniejszego wzrostu dochodu społecznego.

Ustaliwszy w ten sposób swą pozycję wyjściową przyjmuję już tylko warunkowo za dowiedziony drugi punkt wyjścia Autora, streszczający się w zdaniu, że głównym źródłem kapitalizacji pozostają z natury rzeczy zyski i renty. Bieg rozumowania wydaje się więc dostatecznie jasny i można go ująć w następujących kolejnych punktach: 1) celem polityki gospodarczej jest stworzenie takich warunków aby dochód społeczny mógł wzrastać możliwie najszybciej; 2) środkiem do tego celu jest akumulacja dochodu bieżącego; 3) część dochodu społecznego, płynąca z rent i zysków, akumuluje najszybciej; 4) polityka zwyżki płac jest niewskazana, gdyż podcina rentowność produkcji, a więc i wielkość dochodu z zysków i rent. Koniunktura ilościowa wymaga oczywiście, aby odpowiednikiem zwiększonej rentowności warsztatów produkcji, osiąganej na drodze zwiększonych obrotów przy utrzymanym poziomie cen, był wzrost zarobków robotniczych nie poprzez wzrost płac, a przez wzrost zatrudnienia.

Przejdźmy skolei do wątpliwości, jakie się tu nasuwają. Powstaje pytanie, czy siła nabywcza warstwy pracowników najemnych będzie wzrastała w dostatecznym stopniu, aby przemysł znalazł rynek zbytu dla swych wytworów (przy teoretycznym założeniu, że obroty mają się zwiększać). Siła nabywcza robotników, poprzednio zatrudnionych, raczej maleje: utrzymanie płac nominalnych na dotychczasowym poziomie powoduje spadek płac realnych w okresie poprawy. Spadek ten jest wprawdzie nieznaczny i będzie pośrednio wyrównany przez zwiększenie zatrudnienia, gdyż sytuacja rodziny robotniczej może tą drogą doznać pewnego polepszenia; nie będzie to jednak zjawisko powszechne. Jeśli chodzi o robotników nowozatrudnionych, to z reguły uważać można, że wzrost ich wydatków obrócony zostanie na cele wegetatywne. Tak więc wydaje się, że ze strony najpoważniejszego elementu rynku miejskiego — pracowników najemnych — wystarczających zmian popytu w stosunku do wzmożonej produkcji przemysłowej spodziewać się nie można.

Rozszerzenie rynku zbytu nastąpić może jedynie ze strony rynku wiejskiego (zwiększone przychody gotówkowe poprzez sprzedaż większej ilości artykułów rolnych po *nieznacznie* podwyższonych cenach), ale wzrost ten nastąpi z poważnym opóźnieniem, odbędzie się bowiem drogą okrężną: zwiększone dochody warstwy robotniczej ulegną przesunięciu na korzyść wsi, tu zaś w pierwszym okresie poprawy obrócone zostaną nie na zakup artykułów przemysłu, lecz na spłatę zobowiązań. Długoletnie i głębokie wyczerpanie wsi w okresie kryzysu nie pozwala — jak to doświadczenie uczy — na szybki wzrost popytu na dobra konsumcyjne; wzrost ten następuje powoli, poprzedza go zaś popyt na dobra kapitałowe. Część wreszcie tego zwiększonego dochodu rolnictwa zostanie zaoszczędzona lub stezauryzowana. Tak więc w obecnych warunkach polskich popyt na dobra konsumcyjne ze strony rolnictwa wystąpi niedość szybko i w zbyt małych rozmiarach, aby móc wyrównać niedostatek zbytu dla rosnącej produkcji przemysłowej na rynku miejskim.

Jest rzeczą jasną, że słaby wzrost popytu na artykuły przemysłowe o charakterze konsumcyjnym w pierwszej fazie poprawy nie może nie zaważyć na kierunku i natężeniu inwestycyj przemysłowych. Zaryzykować można więc twierdzenie, że akumulacja rzeczowa rent i zysków przy koniunkturze ilościowej (utrzymanych cenach i płacach) odbywać się musi w głównej mierze w kierunku publicznych inwestycyj podstawowych (energetyczne, komunikacyjne, wodne itp.), co skolei warunkuje inwestycje w przemyśle dóbr wytwórczych. Tu dochodzimy do dość ciekawej konkluzji, która stanowi gospodarcze uzasadnienie wysuniętego przez p. A. Skalskiego[2]) postulatu przymusowej akumulacji części dochodów z zysków i rent, — postulatu wysuniętego ze względów społecznych („równość ofiar"). Skoro bowiem dalsze inwestycje przemysłowe w zakresie dóbr konsumcyjnych nie są opłacalne, akumulacja zaś rzeczowa odbywać się może w wgłównej mierze w zakresie dóbr wytwórczych, na które popyt istnieje ze strony inwestycyj podstawowych, to dochodzimy zarazem do dwóch wniosków: pierwszy dotyczy konieczności podejmowania tych inwestycyj podstawowych również w okresie poprawy koniunkturalnej, drugi zaś — konieczności przymusowej akumulacji części zysków i rent. Wzrost dochodu warstwy robotniczej, ani — co za tem idzie — wzrost popytu na artykuły przemysłowe ze strony wsi nie wystąpi bowiem w ogóle o ile produkcja przemysłowa uprzednio już nie będzie stymulowana przez czynniki zewnętrzne[3]). W przeciwnym wypadku ożywienie wystąpi w bardzo słabym stopniu i część dochodu z zysków i rent, która mogłaby być akumulowana, zostanie wobec nieopłacalności czynienia dalszych inwestycyj bądź wywieziona z kraju, bądź stezauryzowana.

Możeby sobie wyobrazić inny jeszcze przebieg zdarzeń: poziom płac nie ulega zmianie, a dochód z zysków i rent nie jest przymusowo akumulowany; wówczas jednak pozostaje ostatnie wyjście z sytuacji w postaci zniżki cen. Sprowadza się to jednak do punktu wyjścia, tj. do wzrostu płac realnych. Możemy więc powiedzieć, że utrzymywanie płac nominalnych na niezmienionym poziomie przez dłuższy okres czasu przy braku przymusowej akumulacji zysków i rent prowadzi do petryfikowania obecnego poziomu dochodu, *o ile trwale nie jest prowadzona polityka zniżki cen przemysłowych.*

W wypadku, gdyby warunek zniżki cen przemysłowych nie był spełniony, mielibyśmy do czynienia ze względnym spadkiem produkcji, (tj. że wzrost produkcji nie następowałby w takim tempie, jak przy zachowaniu powyższych warunków), a więc — ze względnym spadkiem dochodu społecznego. Ten stan rzeczy byłby więc sprzeczny z punktem wyjścia całego rozumowania, gdyż taka właśnie polityka płac nie zapewniałaby najsilniejszego wzrostu dochodu społecznego w danych warunkach miejsca i czasu.

Marian Rawicz.

²) Gosp. Nar. Nr. 3, 1938 r. „Uspołeczniony dochód społeczny".

³) Przez czynniki zewnętrzne rozumiemy inwestycje o charakterze publicznym; w naszym wywodzie abstrahujemy od wpływu koniunktury światowej.

ŹRÓDŁA KAPITALIZACJI

Z radością powitać należy zainteresowanie się publicystyki gospodarczej omawianym obecnie zagadnieniem poziomu płac. Leit motywem odzywających się na ten temat ogłosów jest udzielenie odpowiedzi na pytanie, jaki powinien być poziom płac wobec zachodzącej poprawy gospodarczej. Zagadnienie istotnie pierwszorzędnej wagi. Charakterystyczna jednak, a bynajmniej nie pocieszająca jest zupełna rozbieżność poglądów, wypowiadanych na ten temat. Pozwala to sądzić, że myśl gospodarcza w zakresie tak podstawowego zagadnienia i jednego z głównych narzędzi świadomej polityki gospodarczej nie tylko jest odległa od sformułowania odpowiedzi, ale jeszcze nie wytworzyła mocnych i bezspornych szczebli myślenia, po których stąpając, zbliżalibyśmy się do trafnej odpowiedzi. Przyczyna tego stanu rzeczy tkwi niewątpliwie w fakcie, że zagadnienie poziomu płac jest przyczynowo centralnym problemem życia gospodarczego, a równocześnie zjawiskiem syntetycznym, odźwierciadlającym stan gospodarczy. Nie można więc uzyskać trafnej i zadawalającej odpowiedzi na to pytanie jedynie na podstawie analizy procesów kapitalizacji[1]), albo szukania gospodarczego uzasadnienia dla założeń społeczno-ideowych[2]).

Poziom płac, stanowiący wypadkową szeregu czynników, jak kosztów produkcji, cen, zatrudnienia, stopnia zainwestowania lub kapitalizacji, nie może być jednostronnie ustalany jedynie na podstawie oceny wzajemnego oddziaływania na płace *jednego* z nich.

Wzajemne działanie poziomu płac na układ gospodarczy można sprowadzić do trzech typów płac pod względem ich zużycia, które hierarchicznie układają się w sposób następujący.

¹) Józef Poleszuk „Niektóre aspekty zagadnienia płac", Gospodarka Narodowa Nr 1, r. 1938.
²) Andrzej Skalski „Uspołeczniony dochód społeczny", Gospodarka Narodowa Nr 3, r. 1938.

1) Płace konsumcyjne utrzymujące się na poziomie umożliwiającym jedynie zaspokojenie potrzeb utrzymania. Górna granica ich jest zmienna w zależności od cen artykułów pierwszej potrzeby oraz „standart of life" danego społeczeństwa. Płace utrzymywane w tych granicach wpływają w pierwszym rzędzie na stopień konsumcji artykułów żywnościowych a następnie pozostałych artykułów niezbędnych, np. odzieżowych, ograniczając zresztą ich zakup do minimum potrzeb. Taki poziom płac ma niewielki wpływ na układ stosunków gospodarczych i stanowi zjawisko nietylko socjalnie ale i gospodarczo ujemne, gdyż ogranicza możliwości podnoszenia produkcji, nie daje bowiem podstaw wzrostu konsumcji artykułów przemysłowych.

2) Z chwilą gdy poziom płac umożliwia zaspokajanie potrzeb wyższego rzędu po uprzednim zaspokojeniu potrzeb utrzymania, mamy do czynienia z drugą grupą płac oddziaływującą na układ gospodarczy dodatnio, ale jedynie w ramach wpływu koniunkturalnego, umożliwiającego ożywienie gospodarcze przez powiększenie konsumcji, a przez to i produkcji. Płace utrzymane na tym poziomie nie stanowią jeszcze stricto sensu czynnika współdziałającego w kształtowaniu na przyszłość wielkości dochodu społecznego.

3) Z oddziaływaniem poziomu płac na podział dochodu społecznego, czyli z ich strukturalnym działaniem, mamy natomiast do czynienia dopiero wówczas, gdy poziom płac umożliwia kapitalizację, czyli odkładanie części płacy w postaci oszczędności.

Granice tego trójpodziału poziomu płac są zmienne głównie pod wpływem dwóch czynników: cen i poziomu życia warstwy pracowników najemnych. Oba te czynniki działają jednakowo, tzn. ich podnoszenie się przesuwa wzwyż granicę trójpodziału poziomu płac. W każdym jednak wypadku podział ten utrzymuje się i poszczególne grupy płac tak samo oddziaływują na układ gospodarczy.

Przechodząc skolei do zagadnienie kapitalizacji z płac lub innych dochodów, natrafiamy na poważne wątpliwości co do słuszności twierdzenia, że głównym źródłem kapitalizacji pozostają *z natury rzeczy* zyski i renty". Tak może być lecz nie musi. Zachodzi to bowiem w wypadku gdy poziom płac jest bliski części płac zużywanej na utrzymanie, co sprzyja wystąpieniu drugiego niezbędnego warunku, by dochód brutto produkcji przewyższał jej koszt. W wypadku jednak gdy płace utrzymywać się będą ponad poziomem kosztów utrzymania nastąpi proces kapitalizacji tej nadwyżki. Kapitalizacja więc równie dobrze może mieć miejsce z zysku lub renty jak i z płacy.

Jeżeli dla ustalania poziomu płac uznajemy za decydujący moment kapitalizacyjny, należy uprzednio stwierdzić, która z form kapitalizacji jest właściwsza względnie skuteczniejsza. Działanie skierowane w celu uzyskania kapitalizacji przez utrzymanie wysokiego poziomu płac, napotka na trudność polegającą na osłabieniu tempa wzrostu kapitalizacji, gdyż wysoki poziom płac początkowo będzie wykorzystywany na podniesienie stopy życia. Jakkolwiek jednak cel zamierzony będzie odbywał się powolniej, nie mniej osiągnie się drugi wynik nader korzystny — wzrost konsumcji, który z kolei da możność ilościowego podniesienia produkcji. Kapitalizacja natomiast osiągana drogą powiększenia zysków przedsiębiorcy przez utrzymywanie niskich płac, jakkolwiek może dać efekt szybszy, nie mniej w skutkach będzie on gorszy, gdyż: 1) prowadzi do kumulacji kapitałów w mniejszej grupie jednostek przez co zmniejsza ilościowo możliwości inicjatywy gospodarczej; 2) wytwarza warunki nadprodukcji, gdyż sprzyja powiększeniu produkcji przy zachowaniu tego samego poziomu konsumcji.

Należy skolei rozważyć, czy proces kapitalizacji w Polsce uzasadnia twierdzenie, że „głównym źródłem kapitalizacji pozostają z natury rzeczy renty i zyski". Jego analiza zdaje się potwierdzać tezę zasadniczo odmienną a mianowicie, że kapitalizacja odbywa się w znacznej większości w postaci akumulacji dochodów z pracy. Wskazuje na to znaczny udział w kumulacji kapitału ubezpieczeń przymusowych z tytułu umowy o pracę, oraz duży dorobek uzyskany przez P. K. O. również w znakomitej przewadze oparty o oszczędności świata pracy wzgl. drobnych przedsiębiorstw, w których czynnik pracy znajduje się w przewadze nad kapitałem.

Jest to zjawisko zrozumiałe i naturalne w naszym układzie gospodarczym, który cechuje znaczny przerost czynnika pracy nad kapitałem. Należy się liczyć, że ten stan rzeczy pozostanie przez czas dłuższy istotną cechą polskich stosunków gospodarczych. Pomijając więc nawet rozważania teoretyczne i przesłanki gospodarcze, oparcie kapitalizacji na zyskach i rencie musi w skutkach znacznie osłabić jego ostateczny wynik.

Wolno nawet wnioskować, że opieranie akumulacji kapitału na zyskach i rentach spowodować by musiało ujemne skutki nie tylko społeczne, ale i gospodarcze a zwłaszcza znacznie ograniczyłoby możliwości kapitalizacyjne pod względem wysokości sum kapitalizowanych.

Poziom płac powinien umożliwiać kapitalizację z pracy. Uzyskanie właściwego w tym celu poziomu cen, oraz zachowanie kapitalizacji zysku przedsiębiorcy może być osiągnięte nawet przy poziomie wysokich płac przez ilościowe podniesienie produkcji.

Stanisław Ozima.

UWAGI

WEGETACJA

Polski „homo oeconomicus" posiada w zasadzie psychikę — konsumenta.

Zdawało by się na pierwszy rzut oka, że to paradoks, skoro trzy czwarte ludności to chłopi, a ci, jak wiadomo, są producentami, konsumcja ich stoi zaś na niesłychanie niskim poziomie.

A jednak bez względu na liczby statystyczne, bez względu na skład zawodowy ludności trzeba stwierdzić, że dominuje w Polsce psychika konsumencka. I to psychika typu *wegetacyjnego*, dążącego do *przetrwania*. Stąd — nawiasowo mówiąc — popularność idei, głoszonej przed paroma laty: „durchhalten".

Wegetacyjna postawa wobec życia sprowadza się naczęściej do zasady, że nie warto się trudzić, aby było lepiej. Czy to są t. zw. miazmaty Wschodu, czy opacznie zrozumiane doktryny Kościoła katolickiego, czy po prostu słowiańska bierność, lenistwo i brak twórczej wyobraźni — dość, że przeciętny „szary człowiek" niechętnie odrywa się od narzuconej mu pozycji, z wielkim mozołem przełamuje się i nagina do nowych potrzeb, do nowych wysiłków. Powiedzenie Szczepanowskiego, że Polak je dwa razy mniej, a pracuje trzy razy mniej, aniżeli obywatel krajów środkowej lub zachodniej Europy, zachowało — niestety — swą aktualność aż po dzień dzisiejszy.

Wiemy dobrze, dlaczego tak się stało. Szlachetczyzna dawnej Rzplitej, utrata niezawisłości państwowej, spóźnione uwłaszczenie chłopów, ciemnota kulturalna, wojny i zniszczenia: litanię przyczyn zła znamy już na pamięć. Ale nie zawsze: „zrozumieć" znaczy: „przebaczyć". I dlatego nie przebaczamy sobie, że zło tkwi w nas dalej.

Konsumencko-wegetacyjna psychika społeczeństwa polskiego przejawia się jaskrawo zarówno wśród chłopów, jak i wśród inteligencji pracującej, tak wśród kupców jak i wśród przemysłowców lub rzemieślników. „Ideałem" miejskiego wytwórcy jest „zdobyć" czemprędzej, byle jak i byle jaki majątek i, nie oglądając się na nikogo i na nic, „pożywać owoce żywota swego". A te owoce i dosłownie i w przenośni są liche, kiepskie, niedokształcone, robaczywe. Nie opryskiwano drzew, na których one rosły, nie dbano o staranne ich zerwanie i przechowanie, nie dokonywano selekcji i uszlachetniania.

„Życie ułatwione" polskiego przedsiębiorcy zaczyna się nie na starość, lecz w młodości. Zaczyna się w zaraniu, a nie przy końcu wysiłków. Samochód i luksusowy lokal są na pierwszym, planie. Gospodarczy „żołnierz" nie dźwiga w swym „tornistrze" buławy marszałkowskiej, tylko papierek o przyznaniu emerytury lub bilet na loterię. Wygrać milion jest celem setek tysięcy, zarobić go w handlu lub przemyśle — o tem myślą jednostki, ale tego głośno nie mówią.

„Życie ułatwione" wypycha inteligentnego młodzieńca ze sfery chłopskiej, czy robotniczej do wielkich miast, gdzie powierzchowność ceniona jest wyżej od głębokości. Chłopskie czy robotnicze dziecko wstydzi się swych rodziców, swego pochodzenia, bo zostało... koncepistą, ma pewną posadę, kino raz w miesiący i emeryturę przed sobą. Być „panem" — to znaczy ubierać się po pańsku, czasami jeść po pańsku, ale już niemal wcale mieszkać po pańsku. Książki, czasopisma, teatr: to dobre dla „ostatnich Mohikanów". Wiedza, nauka: niepotrzebne, skoro i bez nich można dobrze żyć, t. zn. dobrze wegetować.

Prymitywizm spożycia (w szerokim sensie wyrazu) pociąga za sobą niechęć do wzmożonego wysiłku. Ludziom najzupełniej wystarcza zły stan obecny. Zdają sobie sprawę, że stan ten nie jest dobry, ale nie zastanawiają się nad sposobami jego ulepszenia. Raczej wyciągną rękę po jałmużnę prywatnej lub publicznej filantropii, niekiedy będą uważali tę pomoc za „psi obowiązek" społeczeństwa, ale nie uczynią nic lub prawie nic, by ze swej strony przyłożyć się do zerwania dławiącego łańcucha biedy i zacofania. Chłop nie będzie ratował dobytku przed powodzią, bo wie z góry, że „rzund" i tak mu wynagrodzi szkody, spowodowane przez żywioł.

Warunki materialne, w jakich żyje polski proletariusz i chłop, są nie do pomyślenia w społeczeństwie naprawdę *aktywnym*. Jeżeli komuś woda zacieka do mieszkania, to wszędzie bierze się kawałek deski, gwoździe i młotek, ale w Polsce czeka się na państwo — stróża nocnego, na opiekę społeczną i wreszcie na pomoc boską. Człowiek, który ma wyższe aspiracje, realizuje je, a nie tak jak u nas grzęźnie w błocie wiecznego niedostatku, gorzkniejąc z dnia na dzień. Człowiek, który widzi koło siebie zło, usiłuje zwalczyć je i przetworzyć w dobro; u nas raczej życzy tego samego zła tym, co je przezwyciężyli. I wśród polaków, a nie tylko wśród ukraińców, obowiązuje przysłowie: „Ja sam nie ham i tobi nie dam" („sam nie jem, więc i tobie nie dam").

Nędzna wegetacja wsi polskiej ma tyle przesłanek obiektywnych, że można by uznać, iż chłop polski znalazł się w położeniu bez wyjścia. Emigracja zamknięta; możliwości parcelacyjne ograniczone brakiem ziemi do podziału; miasta wchłaniają niewielki odsetek ludności wiejskiej i czynią to w tempie b. powolnym. Cóż więc pozostanie? Stryczek, nóż, głownia?...

W „Strukturze społecznej wsi polskiej (Warszawa 1937, nakładem Instytutu Gospodarstwa Społecznego) zreasumowano wyniki ankiety, zawierającej m. in. pytanie, czy można zwiększyć produkcję rolną. Na pytanie to 75% odpowiedzi brzmiało pozytywnie, 25% — negatywnie. Nie bez znaczenia jest przy tem fakt, że największy stosunkowo odsetek odpowiedzi optymistycznych przypada na województwa zachodnie; Kongresówka i Ziemie Wschodnie liczą za to najwięcej sceptyków, wyznawców zasady: „jakoś tam było i jakoś tam będzie", tradycjonalistów w złym sensie tego słowa i, krótko mówiąc, jednostek biernych.

Poziom przeciętnego polskiego życia jest niski. Fakt ten bynajmniej nie jest pochodną braku kapitałów; raczej braku chęci wydźwignięcia się z dna nę-

dzy. Wegetacyjny, prymitywny poziom życia może być przezwyciężony wysiłkiem, pracą, inicjatywą. Czy stosunków poleskich trzeba szukać tylko na wschód od Bugu? Wystarczy zajrzeć do wsi podstołecznych, żyjących z bogatego i wielkiego rynku zbytu. ale żyjącego w warunkach, jakichby nie zniósł najuboższy człowiek na Zachodzie. Ludność nie zna jarzyn, opychając się kartoflami, nie jada nabiału. Jarzyny, wymagające mało ziemi, ale dużo pracy (o którą podobno na wsi najłatwiej), są nieznane, jak nieznane są zasady racjonalnej hodowli drobiu, świń, cieląt. Dzieci wiejskie, które przecież chodzą do szkoły powszechnej, nie wiedzą nic o szorowaniu krów i koni, dzięki któremu skóra bydlęca lub końska uzyskuje wyższą wartość i cenę. Nadmiar niezatrudnionych rąk roboczych nie przeszkadza faktowi, że sady owocowe są wydzierżawiane z obawy przed kradzieżą, a raczej z niechęci do pilnowania, opryskiwania, pielęgnacji drzew, selekcji owoców etc. Jeżeli jednak są powiaty, gdzie system dzierżaw jest nieznany, to widocznie przyczyny opisanego stanu rzeczy leżą nie tyle w płaszczyźnie gospodarczej, co — psychologicznej. A jak chłop polski gospodaruje obornikiem? Przecież marnotrawstwo jest tutaj olbrzymie.

Przed polskim chłopem, rzemieślnikiem, fabrykantem, kupcem nie ścielą się różowe perspektywy. Ceny nie pójdą w górę, podatki nie zostaną obniżone, państwo będzie wymagało wielu ofiar i wyrzeczeń się. A jednak trzeba żyć, żyć naprawdę, nie wegetować. Polski chłop, rzemieślnik, fabrykant, kupiec musi więcej produkować i sprzedawać, wytwarzać lepiej i lepsze oddawać usługi. Nie zbawią go hasła negatywne, nie zastąpią jeszcze jednego kwintala z hektara ani jeszcze jednej inwestycji, rozszerzającej obrót. Jeżeli nie kotlety, to „kanapki" leżą w „śmietnikach"...

Aby konsumować — trzeba wytwarzać. Tem więcej należy to czynić, jeśli słowo: „konsumcja" ma nie być synonimem prymitywnej, nędznej wegetacji. Kto żyje tylko kartoflami, nie kupi pary butów ani czapki. Kto w cieniu ochrony lokatorów gnieździ się w nędznej norze, zwanej mieszkaniem, a nie dąży do lepszego i droższego dachu nad głową, ten będzie zarabiał licho i pracował licho.

Wszystko, co podano wyżej, jest truizmem. Ordynarnym, pospolitym truizmem. Pełno takich w powiastkach dla dzieci, pisanych metodą, dzisiaj już całkowicie zarzuconą. Powracać do nich wydaje się anachronizmem. Nie szkodzi. Sprawa jest ważniej.

k. b.

PRODUKCJA – LUDNOŚĆ

Argumentacja polityczno - gospodarcza chadza różnemi drogami, nie wybredza w wyborze i lubi wracać z uporem na stare, utarte ścieżki. W okresie kryzysu, gdy rola rolnictwa wypłynęła w całej swej pełni, odkryto i objawiono narodowi, że Polska jest krajem rolniczym, boć ma przecież 2/3 ludności żyjącej z pracy na roli. Każdy szanujący się mówca i publicysta rozpoczynał swe wywody od stwierdzenia tego faktu. I dziś jeszcze są środowiska gdzie argument ten przytłacza słuchaczy, a zwłaszcza samego prelegenta, ciężarem swej nieodpartej a dotąd nieznanej prawdy. Na początku dyskusji parcelacyjnej wysunięto efektowny, a niewątpliwie zasługujący na rozwagę zarzut, że produkcja rolnicza w Polsce spada, a w najlepszym wypadku stoi na miejscu. Stąd już łatwo o dalsze praktyczne wnioski: o widmie wygłodzenia miast, groźbie podważenia pogotowia aprowizacyjnego itp.

Okazało się jednak, że produkcja rolnicza stale po wojnie wzrasta, że kultura rolnicza, globalnie biorąc, podnosi się ciągle, że ekspansja eksportu rolniczego jest coraz większa. Rzucone na wykres linie: produkcyjności polskiego rolnictwa i obszaru większej własności ziemskiej dają nam wyraźne i coraz bardziej rozwierające się nożyce — produkcja mimo wszystko idzie w górę choć obszar większej własności systematycznie maleje. Zjawisko to, zestawione z dynamiką podobnych procesów w krajach radykalnej powojennej reformy rolnej, znajduje znakomite potwierdzenie, wyłamuje się tu jedynie Rumunia. Państwa bałtyckie (Litwa, Łotwa, Estonia) miały największy dynamizm rozwojowy po odzyskaniu niepodległości i dokonaniu radykalnej w założeniach i tempie reformy rolnej i sprowadzeniu stanu posiadania większej własności nieomal do zera. A trzeba pamiętać, że np. w takiej Łotwie większa własność posiadała prawie połowę powierzchni.

Nastąpiła wobec tego zmiana broni polemicznej. Ktoś wpadł na pomysł przeliczania każdorocznej produkcji na ludność, która przecież tak zachęcająco szybko przyrasta. Szybki przyrost ludności pokryje całkowicie — w obliczeniach — postępy produkcji rolniczej i jeszcze da poważne pozycje minusowe. I teraz — jak dawniej owe 2/3 ludności rolniczej — słyszymy powtarzany urbi et orbi argument: produkcja może i rośnie ale nie podąża za przyrostem ludności. Kto winien? Rząd, bo nie dopilnował, by produkcja ta w ciągu kilku ostatnich lat wyrównała wszystkie niedobory i szła równolegle, stale i zawsze za przyrostem ludności.

W koncepcji tej zapomniano o jeszcze jednym, wydajnym dla argumentacji składniku. Znane jest zjawisko t. zw. podaży głodowej, które niewątpliwie istnieje w rzeczywistości. Otóż produkcja, aby wszystko było w porządku, powinna nie tylko nakarmić przyrost naturalny lecz i dokarmić wszystkich tych, którzy niedojadają a takich pewnie znajdziemy na wsi dobrych kilka milionów. Rozkładając to dokarmianie na kilka lat, zanim nastąpi moment normalnego odżywiania się wszystkich obywateli, otrzymamy znakomite pogłębienie deficytowości w naszej produkcji, a linia teoretycznej wytwórczości w zestawieniu z zapotrzebowaniem konsumcyjnym może zejść poniżej linii zerowej. Cóż za pierwszorzędny argument do podważenia naszej polityki rolniczej. Bezwzględna linia produkcji owszem wzrasta, ale względna — w ten sposób obliczona — ucieka w dół z pola wykresu.

W polemice pomieszano i uproszczono dwa zagadnienia. Stwierdzenie potrzeb konsumcyjnych (przeliczenie na ludność), zresztą bardzo prymitywne, nie może być dowodem, że dotychczasowy postęp produkcji (produkcja absolutna) był zbyt wolny. Potrze-

by są niewątpliwie duże i będą coraz większe, bo tak być musi jeśli mówimy o mocarstwowości. Ale czy dotychczasowy postęp produkcji, absolutnie biorąc i oceniając to *na tle naszych zasadniczych niedomagań strukturalnych i siedmiolatki kryzysowej*, był za mały? Pytamy też kto za tempo tego postępu, jeśli jest on za wolny, ma ponosić odpowiedzialność? Przy brakach natury strukturalnej, sięgających głęboko w nasze warsztaty produkcyjne, nie da się podnieść na stałe produkcji w ciągu paru lat. Wymaga to systematycznej, wieloletniej pracy i zespolenia całego szeregu działań. W gospodarce leśnej owoce prac i zabiegów jednego pokolenia leśników zbiera dopiero pokolenie następne. Rolnictwo pracuje na krótszej fali, obejmującej jednak szereg lat. Mieliśmy w Polsce Niepodległej już 21 ministrów rolnictwa, czy mamy plusy i minusy ich działalności skoncentrować na jednym ostatnim okresie?

Z uwag na płaszczyźnie wspólnej z polemiką należy jeszcze podnieść wątpliwość, czy nasza statystyka rolnicza dość dobrze odzwierciadla dynamikę produkcyjną. Wyrażamy obawę, że urzędy gminne szacujące zbiory, z wielu względów chętniej petryfikują poziom zbiorów a nawet obniżają go (przychodzą zasiłki i pomoce) niż chwytają istniejący postęp.

Potrzeba możliwie intensywnego podnoszenia produkcji to twierdzenie niesporne. Nie są tu jednak właściwym miernikiem same kwintale i to jeszcze przeliczone na ludność. Przebudowa struktury produkcyjnej i jakościowej całego kraju nie mieści się w ramach tego rozumowania. Niemcy mają odwrócony stosunek ludności rolniczej do pozostałej i choćby produkowały dwukrotnie więcej z jednostki powierzchni, nie zdołałyby zaspokoić konsumcji własnej. Miara „kwintali ludnościowych", nie nadając się rzecz prosta do mierzenia i oceny postępów produkcji, nasuwa z uwagi na swój prymitywizm duże zastrzeżenia nawet jako wskaźnik potrzeb. Przy uczciwej argumentacji nie zasługuje na poważne traktowanie.

e. g.

PROPAGANDA OSZCZĘDNOŚCI

Tegoroczne sprawozdanie P. K. O. jest ciekawe nie tylko dlatego, że pierwsze w nowym roku rzuca snop światła na gospodarkę pieniężną roku ubiegłego. Przynosi ono coś więcej, co jeszcze wyraźniej niż w sprawozdaniu uwydatniło się w artykułach i notatkach prasowych, ogłaszanych o działalności tej instytucji.

Dotychczasowa polityka propagandowa P. K. O. skupiała swój ciężar gatunkowy na pojęciu składania środków obiegowych w okienkach kas w oparciu o „pewność i zaufanie", jakim oszczędzający darzył główny ośrodek pieniężno - kapitalizacyjny kraju. Symbolem były okrągłe „złotówki", ułożone jedna na drugą do wielkiej wysokości. Pod takim znakiem miał wyobrażać sobie swą przyszłość człowiek oszczędny, korzystający z usług P. K. O. — tak również przedstawiano mu dopływ do P. K. O. oszczędności, gromadzonych przez społeczeństwo w przyśpieszonym tempie. Uznać należy, że powyższy typ propagandy — odpowiadającej zresztą całkowicie rzeczywistości — był konieczny w polskich długoletnio dezorganizowanych warunkach kapitalizacyjnych. Ale uznać należy także, że człowiek oszczędny, zapatrzony w symbol okrągłych „złotówek", wyobrażał sobie więcej, niż to, co expressis verbis mówiła propaganda. Myślał on często i chętnie, podobnie jak może i dwa miliony (dziś już trzy!) podobnych mu wkładców P. K. O. — że złożone przez niego „złotówki" spoczęły w skarbcach lub włączone zostały w jakiś nieznany mu abstrakcyjny obrót pieniężny, *nie zmieniając swej postaci.*

Utrzymywanie się takich nierzeczywistych wyobrażeń (przedstawionych tu nieco przesadnie dla większej jasności naszego podejścia do sprawy), mogło być, i istotnie było, korzystne tylko w stosunkowo ograniczonym odcinku czasu. Życie gospodarcze zna bowiem często warunki rozwojowe, w których postawa wkładcy jest tem bardziej pożądana, im bardziej zdecydowanie porzucił on pogląd o gromadzeniu w skarbcach instytucji finansowych — krążków metalowych i papierków. Najkorzystniejszą postawą jest wówczas postawa tego wkładcy, którego „pewność i zaufanie" oparte zostały na wyobrażeniu domów, fabryk, mostów, kolei, łąk, itp., powstałych z oszczędności pieniężnych ulokowanych na książeczce. W powyższych dwu zdaniach zawarliśmy główne kryterium dla dalszych uwag.

Długofalowa polityka oszczędnościowo-kapitalizacyjna — a taka jest nam potrzebna i taką prowadzi P. K. O. — wymaga innego stosunku do wkładcy, niż ten, który wyraża się w nazbyt uproszczonym pojęciu zaufania.

Ostatnie sprawozdanie P. K. O. i artykuły prasowe o jej działalności wykazują, że naczelna instytucja oszczędnościowa kraju prowadzi akcję propagandową, nie spoczywającą na laurach dotychczowych osiągnięć. P. K. O. zaczęła głośno i do wszystkich swych wkładców mówić o tem, jak zużytkowuje otrzymane pieniądze, oraz wskazywać, że zaufanie społeczeństwa do niej oparte być powinno na podstawie wzrostu bogactwa kraju, w którym ona bierze czynny udział.

Wzrost bogactwa stanowi jedyne, ekonomicznie istotne, trwałe na lata i dlatego realne zabezpieczenie oszczędności, złożonych w kasie bankowej i nie da się zastąpić żadnym dowodem papierowym, opatrzonym najbardziej rygorystycznemi klauzulami spłacalności. Chcielibyśmy dostrzec w nastawieniu tegorocznego sprawozdania P. K. O. zapowiedź koniecznej propagandy rozsądku gospodarczego, który mówi o nieuniknionej, praktycznej (a nie socjalno - teoretycznej) solidarności interesów ekonomicznych całego narodu. W jej świetle schodzi na plan drugi zagadnienie, komu pożycza się pieniądze i czy pożyczający uzyskuje bezpośrednio docnody z otrzymanego kapitału. Wystarczy, że dochody innych osób, tj. zakres dóbr i usług konsumowanych przez ludność bezpośrednio i na cele inwestycyjne wzrósł więcej na skutek udzielonych kredytów, niż wynoszą odsetki od sumy, pożyczonej indywidualnemu kredytobiorcy. Przy dzisiejszym stanie metod statystyczno-gospodarczych uchwycenie liczbowe tego zjawiska jest najczęściej niemożliwe, ale jego istnienie — jako postulat każdego udzielonego kredytu — nie może być kwestio-

nowane, zwłaszcza w ustroju kapitalistycznym, uznającym swobodny wybór dóbr konsumcji. Jeśli pożyczkobiorcą jest państwo, będące przymusowym udziałowcem w dochodach wszystkich przedsiębiorstw i obywateli — to z punktu widzenia techniki rozdziału dochodów w kraju rentowność t. zw. społeczna prawie nie różni się od rentowności przedsiębiorcy indywidualnego. A w Polsce ta niewidoczna, bez aparatu odpowiednich badań rentowność społeczna daje się osiągnąć zapewne o wiele łatwiej i występuje znacznie częściej, niż w przeinwestowanych, w porównaniu ze średnim standartem światowym, krajach obcych.

Propaganda P. K. O. ma większy zasięg niż inne postaci propagandy gospodarczej. Zaryzykowałbym nawet twierdzenie, że podświadomie lub świadomie propaganda ta, ze względu na rolę P. K. O., nadaje w Polsce sui generis ton urzędowym i publicznym wypowiedziom na tematy gospodarcze. Kierunek pewności i zaufania, który ona wskazuje, może być zatem stosunkowo prędko i skutecznie przejęty przez społeczeństwo i administrację. Jeżeli kierunek ten będzie przedłużeniem zarysowanego w ostatnim sprawozdaniu P. K. O., to niewątpliwie przyczyni się do postępu w naszym podejściu do rozwiązań gospodarczych.

Punkt wyjścia dla powyższych uwag stanowiło m. in. podane w sprawozdaniu P. K. O. zestawienie zużytkowania wszystkich kredytów długoterminowych i części krótkoterminowych, udzielonych przez tę instytucję.

W masie globalnej przeszło 900 miln. zł kredytów prawie równorzędne miejsce zajmują pożyczki na cele urządzeń użyteczności publicznej (elektrowni, gazowni, wodociągów, rzeźni itp. — (29%), budownictwa (27%), i rolnictwa (23%) — w sumie zatem prawie 4/5; reszta przypada głównie na inwestycje komunikacyjne (13%). Szkoda, że graficznie dane te przedstawiono w postaci koła i wycinków, a nie w postaci elektrowni, domów, mostów, płodów rolnych itp.

Spoglądając poza obręb samego sprawozdania, sądzimy, że np. afisz foto-montażowy z konkretnymi odpowiednikami działalności kredytowej P. K. O. byłby b. pożądanym gospodarczo i społecznie środkiem propagandowym, z którym w parze powinnoby pójść również wzrokowe informowanie o wysokiej płynności kasowej.

pd.

KU POKRZEPIENIU SERC

Natężenie ruchu antysemickiego w Polsce wywołało nietylko wzmożone polemiki prasowe, lecz przyczyniło się do powstania szeregu publikacji i przyczynków naukowych, poświęconych zagadnieniom gospodarczym na odcinku polsko - żydowskim. Jest kwestią przytem nie bez znaczenia, że strona polska w tej akcji wydawniczej (jeśli pominąć publicystykę polityczną) znajduje się w mniejszości.

Wśród prac, jakie się ostatnio ukazały w języku polskim na poruszone tutaj tematy, wybija się bezsprzecznie książka dr Ignacego Schipera „Dzieje handlu żydowskiego na ziemiach polskich". Znaczenia tej publikacji nie mierzymy jej wielkością (792 strony), ale szerokością zawartej w niej problematyki. Jest to zresztą nietylko historia gospodarcza żydów w Polsce, ale również przyczynek do poznania mentalności współczesnego pokolenia żydowskiego. „Dzieje" mają być zresztą czemś w rodzaju — toute proportion gardée — „Trylogii", pisane są bowiem... „ku pokrzepieniu serc", czego dowodem chociażby końcowy akord książki. Akord ten brzmi: „Niepokój i namiętność dnia nie powinny nam (tj. żydom) tedy zasłonić perspektyw, które wypływają z głębin doświadczeń dziejowych i w dobie ogniowych prób podtrzymują wiarę w trwanie i przetrwanie"...

Nie zamierzając streszczać pracy, którą każdy, kto interesuje się strukturą życia gospodarczego w Polsce, przeczytać powinien, chcielibyśmy jedynie zwrócić uwagę na metodę, użytą przez dr Schipera. Jakże bowiem charaterystycznie brzmi zdanie ze str. 648: „W dziedzinie handlu wewnętrznego ciągle jeszcze działają walne atuty kupiectwa żydowskiego: znajomość potrzeb masowych, łatwość dostosowania się do warunków, taniość dostarczanych towarów, najdalej posunięta oszczędność w prowadzeniu przedsiębiorstwa handlowego itd. Wobec tych to atutów wszelkie rodzaje nacisku i ucisku mogą mieć li przejściowe znaczenie".

Przytoczone zdania są niejako refrenem książki. Autor rozdzielił przytem światła i cienie w ten sposób, że pierwsze są zasługą kupiectwa żydowskiego, gdy drugie winą tylko czynników zewnętrznych, pozażydowskich. Próżno byśmy szukali w „Dziejach" wytłumaczenia przyczyn zarówno akcji, zwanej obecnie „unarodowieniem" handlu, jak i relatywnego cofania się handlu żydowskiego. W obszernych wywodach i reminiscencjach historycznych dr Schipera nie znajdujemy słówka o niedociągnięciach w handlu żydowskim, o stwierdzanej powszechnie prymitywizacji tego handlu etc. Autor z dużą, powiedzmy grzecznie, swadą podkreśla raz po raz druzgocącą przewagę żydów w handlu, a jednocześnie pomija milczeniem *jakość* aparatu handlowego, znajdującego się w rękach ludności żydowskiej i jakość usług, które gospodarstwu polskiemu powinien ten aparat oddawać.

Robota handlowa żydów jest — w świetle wywodów dr Schipera — robotą bez zarzutu. Ale w takim razie można by zapytać: „Dlaczego jest tak źle, skoro jest tak dobrze?" Dr Schiper na pytanie to udzieliłby odpowiedzi wymijającej, a w ostateczności winowajcę złego stanu rzeczy znalazłby w czynnikach zewnętrznych, antysemityzmie, owym „nacisku i ucisku", słowem — wszędzie, tylko nie w strukturze i metodzie pracy żydowskiego aparatu handlowego. Nie docenił on zresztą tak kapitalnej okoliczności, o której jak gdyby przypadkowo wspomniał na str. 612, a która polega na ubytku rynków rosyjskich po wojnie. Ubytek ten — konstatuje dr Schiper — „szczególnie jaskrawo uwydanił się w handlu żydowskim", po czem stwierdza, iż „siła handlu żydowskiego na obszarze b. Królestwa, na którym skupia się większość dzisiejszego żydostwa polskiego, polega głównie na tem, że handel ten w niewielkiej tylko mierze opierał się na lokalnych rynkach zbytu i że pracował on przede wszystkim dla rynków w centralnej Rosji oraz na

dalszym Wschodzie. Na tych to rynkach rosyjskich i wschodnich opierał się dobrobyt żydostwa w miastach i miasteczkach b. Kongresówki oraz Kresów północnych i wschodnich". Czyż może być mocniejsze podkreślenie wadliwości struktury kupiectwa żydowskiego w Polsce?...

Opromieniony blaskami blisko tysiącletnich tryumfów, pozbawiony — zdaniem dr. Schipera — jakichkolwiek braków i niedociągnięć handel żydowski cofa się jednak — i to nie od dzisiaj, nie od przewrotu hitlerowskiego w Niemczech, popularyzacji idei rasistowskich etc. W okresie 1897 — 1921 odsetek żydów, zatrudnionych w handlu i ubezpieczeniach, spadł w Kongresówce z 75 na 67% ogółu ludności zawodowo czynnej; dla Galicji w okresie 1900 — 1921 odsetek ten z 82 obniżył się do 74%. Proces, którego jesteśmy obecnie świadkami, tendencję tę przyśpiesza i pogłębia. Można by w tem widzieć skutki działania etatyzmu, interwencjonizmu i spółdzielczości, które dr Schiper niemal jednym tchem wymienia, przemilczając powody, skąd się te „plagi egipskie" wzięły i czemu zawdzięczają swe powodzenie. Autor musi się jednak na coś zdecydować: bo jak handel żydowski może cierpieć np. z powodu współzawodnictwa ze strony spółdzielni, kiedy „spółdzielnie te nie wytrzymały próby czasu" (str. 635), czego dowodem (w przekonaniu autora) ma być fakt, że ich obroty w okresie spadku cen skurczyły się wartościowo do połowy.

Gruby tom, pełen ciekawych informacji, danych cyfrowych itd., nie przyczyni się do pogłębienia zrozumienia ani konfliktu polsko-żydowskiego, ani działalności żydowskiej aparatury handlowej. Robi on wrażenie „dobrej miny do złej gry" lub chełpliwego upozorowania „odwrotu na wyznaczone z góry pozycje".

z. i.

NOTATKI

TEORIA I PRAKTYKA

Wpadł mi w ręce dodatek gospodarczy jednego z pism polskiego Manchesteru. Dodatek jest poświęcony niemal w całości sprawie krajowych surowców włóknistych. Zabierają w nim głos przeważnie przemysłowcy. Należy mieć wdzięczność wobec pisma za tę inicjatywę, gdyż zestawienie wypowiedzi przemysłu w różnych okolicznościach (od święta i na codzień) „z jego czyny" (mówiąc biblijnie) — daje pouczający a dobry pogląd na sprawę. Nie zamierzamy w notatce podejmować zasadniczej dyskusji na temat: protekcjonizm czy wolny handel. Po pierwsze dlatego, że to tylko notatka, powtóre zaś z tej przyczyny, że interesujący nas problem był po wielekroć na łamach Gospodarki omawiany. Operując niemal wyłącznie tytułami artykułów i uwag, drukowanych na przestrzeni ostatnich paru lat stwierdzimy zajmowanie się permanentnym „zasadniczym nieporozumieniem" na temat „polityki koniunkturalnej — polityki strukturalnej i polskiej rzeczywistości", „fetyszu wolnego handlu", „doktryny klasycznej a polskiej rzeczywistości", „samowystarczalności" i „sprawy namiastek", „kalkulacji autarkii" i faktu że „drogi surowiec zastępczy" może się okazać tańszy od taniego importowanego z uwagi na zdobywanie dewiz w drodze deficytowego eksportu oraz możność celowego zużycia "renty kontyngentowej" i wreszcie ze względu na charakter naszego „rozrachunku ze światem". Ograniczymy się tedy do zaprezentowania czytelnikom sposobu podchodzenia pewnych kół do sprawy krajowych surowców.

Dowiadujemy się więc, że „*w normalnych* warunkach i przy *normalnym* układzie obrotu handlu światowego, o ile możemy jeszcze oczekiwać powrotu tych *normalnych* warunków, wszelkie namiastki musiałyby być uznane za zupełnie zbędne i kwestia polityki namiastkowej nie mogłaby egzystować". Nawet przy takim nagromadzeniu założeń wszelakiej „normalności" obowiązuje logika. I jeśli nic na niebie i ziemi nie wróży na najbliższą przyszłość powrotu do stosunków, jakie panowały *w niektórych krajach w XIX wieku,* trzeba wyciągnąć stąd odpowiednie wnioski.

Jeden z autorów omawianego dodatku podziela pogląd, wyrażony przez Poniatowskiego w pracy o przeludnieniu, co do konieczności utrzymania w Polsce niskich cen i „oczywiście" wyciąga stąd negatywne wnioski dla „droższych" surowców krajowych i całej akcji preferencyjnej. Tylko że, oczywiście zapomniał o kartelizacji i całym aparacie protekcji przemysłowej. Natomiast w szczerość postulatu niskich cen u przemysłowca można uwierzyć tylko wówczas, gdy wyrzeknie się dobrodziejstw, płynących zarówno z protekcji przemysłu, jak kartelizacji, co w naszych stosunkach byłoby równoznaczne z zaniechaniem działalności przemysłowej, do czego zresztą bynajmniej nie namawiamy. Żądanie niskich cen namiastek w imię dobra 8 mil. bezrobotnych na wsi i głoszenie zasad wolnohandlowych przy jednoczesnym korzystaniu z dobrodziejstw istniejącego stanu rzeczy jest... niezgodnością praktyki z teorią (mówiąc bardzo delikatnie). Lekkomyślne powoływanie się na czyjeś poglądy zawodzi, bo może się okazać, że całość tych poglądów nie odpowiada całości własnych poglądów bądź — co gorsze — własnej praktyce, pomimo zgodności części. P. Poniatowski bowiem stwierdzając potrzeby utrzymania niskich cen, występuje przeciw protekcji przemysłowej, kartelom i wypowiada się za niedopuszczaniem do „wysokiej stopy życiowej *całego* społeczeństwa".

Gdy jeden autor z niesprecyzowanych przesłanek wyciąga wniosek, iż inwestycje na uruchomienie produkcji ciętych włókien będą błędne, a więc nierentowne, drugi — widocznie z tej przyczyny — namawia do tych inwestycji Państwo i to w Centralnym Okręgu Przemysłowym.

Trudności dewizowe i płynący stąd motyw walutowy w preferencjach surowcowych ma być dlatego założeniem naiwnym, że dany autor zwęża sprawę do ograniczania importu, sugeruje tak unaiwniony pogląd przeciwnikom i deklaruje się jako „zwolennik włączenia gospodarki polskiej do wymiany międzynarodowej i do intensywnego obrotu z zagranicą”. Pomijając to, że ostatnia sprawa jest wyraźnym pomieszaniem pojęć — (bo co innego jest wzmożenie międzynarodowej wymiany, a co innego powrót do wolnego handlu) — ilość „pur sang liberałów”, ani nawet ich jakość, nie łagodzi w niczem naszych trudności gospodarczych. Przeciwnie można zaryzykować twierdzenie, iż utrudnia, szczególnie gdy opatrzność da w ich ręce ośrodek dyspozycji.

Nie robiono dotychczas w Polsce kalkulacji autarkkii, a nawet przybliżonego rachunku skromnego interwencjonizmu, oczywiście rachunku zrobionego z całym obiektywizmem. Wielka szkoda! Tem większa, że coraz to zdarzają się wypadki takiego kalkulowania, gdy się tylko dodaje (pasywy) bez odejmowania (aktywów); nie mówiąc już o wypadkach gdy koszta autarkii obliczane są w ten sposób, że sumę obciążenia gospodarstwa narodowego z tego tytułu otrzymuje się przez przemnożenie numeru tramwaju przez wysokość sąsiedniej kamienicy.

Jeszcze dziwniej wygląda argumentacja gdy własne gorące marzenie wkłada się do zanadrza „czynnikom rządowym”. Niewątpliwie kotonina np. byłaby niewspółmiernie tańsza gdyby wprowadzono zakaz wywozu lnu, tylko, że tak „korzystnych” dla rolnictwa wniosków czynniki rządowe — o ile nam wiadomo — nie wysuwały. Ilość surowców istniejących i tych, które mogą być wyprodukowane i dostarczone, jest tak wielka, (przy obecnej zdolności produkcyjnej zakładów wytwarzających namiastki), że obawy o rzekomy brak surowców należy włożyć między bajki.

Ale najzabawniej jeśli nie tragicznie wyglądają w propozycjach przemysłu sprawy zabezpieczenia surowca na wypadek wojny. Takie są zbawienne sposoby:

1) Zawarcie długoterminowych umów na dostawę bawełny „po niskich cenach m. in. również i na *wypadek wojny*”. — Ciekawe jak projektodawca wyobraża sobie wykonanie takiej umowy właśnie na wypadek wojny, a więc i zaopatrzenie w niezbędne surowce, np. przy blokadzie?

2) Tworzenie składów bawełny — bo one mają dawać większą gwarancję dostawy surowca w czasie wojny niż uprawa i produkcja włókien krajowych.

3) „Ustalenie metod i wyznaczenie zakładów, które w czasie wojny przestawią się wedle gotowego planu na krajowe surowce”, — przy czem prawdopodobnie wówczas okaże się, że nie przeegzaminowane przed wojną w odpowiedniej skali i dostatecznie długim okresie czasu, metody plany i zakłady będą bezużyteczne.

Fetysz wolnego handlu, jako fetysz, a więc dość pokraczne egzotyczne bóstwo, nie tylko straszy w teorii ekonomii lecz i w polityce gospodarczej, a przeraża w praktyce.

a. s.

CAMERA OBSCURA

Jeden z dzienników popołudniowych zamieścił na pierwszej stronie artykuł, omawiający „nader ciekawy” przebieg obrad komisji budżetowej Senatu nad budżetem Ministerstwa Przemysłu i Handlu. Wśród argumentów użytych przeciw zamierzonej produkcji lanitalu znaleźliśmy następujący passus: „Za 8 miesięcy 1937 r. sprowadzono do Polski około 16.000 ton szmat wełnianych i bawełnianych. Ze 100 litrów mleka można wydobyć około 3 kg lanitalu. Aby otrzymać 16.000 ton lanitalu, który by zastąpił wspomniane wyżej szmaty wełniane i bawełniane, trzeba by zużyć około 530 milionów litrów mleka. Obecna konsumcja mleka w Polsce jest najniższa w Europie. A zatem moglibyśmy produkować sztuczną wełnę z mleka tylko kosztem i tak już znikomej konsumcji, czyli inaczej mówiąc, zdrowia społeczeństwa”.

Zaiste szmat drogi w tak krótkim zdaniu przebył autor od szmat do zrowia publicznego. Uważamy, że p. senator Algajer, który przemawiał w tej sprawie na komisji, powinien wszcząć proces o zniesławienie. Autora zaś artykułu proponujemy spalić publicznie na stosie po starannym owinięciu w importowane szmaty wełniane i bawełniane i nakarmieniu trzema kilogramami lanitalu, lub kazeiny, jako bardziej zbliżonej do sera.

j. r.

SŁODYCZ STAROKAWALERSTWA

W sejmie postawiono wniosek o obniżenie akcyzy od cukru i wzamian za to opodatkowania kawalerów. Gdyby wniosek pochodził od Sokratesa, lub męża jakiejś współczesnej Ksantypy, można byłoby mieć pewne wątpliwości, co do intencyj wnioskodawcy. Wystąpiła posłanka, więc nie ma żadnych podstaw do jakichkolwiek złośliwości. Chodzi o rozpowszechnienie spożycia cukru przez obniżkę jego ceny, w drodze redukcji akcyzy. Cel niewątpliwie piękny. Cukier, jako artykuł pierwszej potrzeby, wskutek wysokiej akcyzy jest dotychczas bezwzględnie (nie stosunkowo jednak) drogi. Redukcja akcyzy, wskutek tego obniżka ceny, spowodowałaby rozpowszechnienie jego zużycia. Obniżka ceny, a więc i redukcja akcyzy, musiałaby być odpowiednio *głęboka*, aby osiągnąć wzmożenie spożycia cukru. I tu właśnie napotykamy na znaczne trudności, które nam każą przenieść sprawę na inną płaszczyznę.

Wpływy z akcyzy wynoszą do 150 miln. zł. Aby obniżka ceny była znaczna, redukcja akcyzy musiałaby być również odpowiednio wysoka. Akcyza w detalicznej cenie 1 kg cukru wynosi 37 gr na złotówkę. Nie spodziewam się, aby przy obecnym stanie i hierarchii potrzeb oraz wpływów budżetowych, opłata akcyzowa mogła być *zniesiona*, bądź zastąpiona jakimiś innymi wpływami. Nie sądzę, aby opodatkowanie kawalerów, a nawet starych panien (których jest więcej) mogło dać wymaganą kwotę. Załóżmy jednak, że akcyzę obniży się np. zaledwie o 1/3-cią. Oznaczałoby to obniżkę detalicznej ceny cukru o 12 gr. na kg, lub 15 — 20 gr, jeśli uwzględnić obniżkę ceny kosztem przemysłu i przez kompresję innych pozycyj. Cukier kosztowałby wówczas ca 85 gr. za kg. Nawet

tak nieznaczna obniżka wywołałaby niewątpliwie pewien wzrost spożycia, który przy spadku wpływów jednostkowych z akcyzy (od kg), przyczyniłby się do pewnego wyrównania wpływów *globalnych*. Jedna trzecia 150 miln. = 50 miln. zł, czyli mniejwięcej tyle, ile wynoszą wpływy z obciążenia opłatami soli i nafty [1]).

Przechodzę do sedna sprawy. Uważam przede wszystkim sól, a częściowo i naftę za artykuł najbardziej powszechnego użytku. Stanowisko to nie jest ani nowe, ani tem więcej moje własne, czemu dałem wyraz w cytowanej uwadze. Aby zdać sobie z tego sprawę wystarczy przypomnieć owo historyczne już gotowanie kartofli przez kilka rodzin w tej samej słonej wodzie. Gdyby chodziło o dowód bardziej konkretny, powiedzmy liczbowy, można zajrzeć do opracowanych przez Instytut Puławski budżetów rodzin rolniczych, ich zadłużeń, itp. Wydatki na sól stanowią najbardziej sztywną pozycję. Świadczy to zarówno o małej elastyczności spożycia soli, jak i o *utrzymaniu zbyt wysokich cen*. Z tych względów wypowiadam się przede wszystkim za potanieniem soli, a więc za obniżeniem opłat na rzecz Skarbu Państwa od tego artykułu najpierwszej potrzeby, i to nie kosztem opodatkowania kawalerów i starych panien [1]) (zgodnie z obowiązującym równouprawnieniem). Do takiego postawienia sprawy skłania pobieżna bodaj analiza przyczyn *powszechnego* (nie indywidualnego) starokawalerstwa. Leżą one w fakcie zbyt niskich zarobków, względnie braku pracy młodych i niemłodych już ludzi. Aczkolwiek znane są także inne przyczyny niezawierania związków małżeńskich np. „celibatowa ustawa", obowiązująca nauczycielki na Śląsku. Obciążenie budżetów ludzi, źle uposażonych, podatkami za niezawieranie związków małżeńskich, przy ich szczupłych zarobkach musiałoby być bardzo duże, (używając przenośni — „słone"), na to, aby umożliwić znaczną obniżkę akcyzy od cukru. Dlatego też upatrzylibyśmy źródło rekompensaty wpływów z cukru nie w opodatkowaniu wszystkich kawalerów o pewnej skali zarobków lecz „w silniejszym obciążeniu importu artykułów luksusowych, oraz w słuszniejszym rozłożeniu innych podatków bezpośrednich, przede wszystkim dochodowego", z tem, że progresja podatku w stosunku do kawalerów właśnie mogłaby być niewspółmiernie wyższa. A i to mogłoby obowiązywać bez zastrzeżeń tylko w stosunku do kawalerów samotnych, nie obciążonych utrzymywaniem krewnych, liczniejszych nieraz od niejednej rodziny własnej, złożonej częstokroć tylko z żony.

Gdyby mimo wszystko proponowane przez p. posłankę opłaty zostały wprowadzone, musiałyby one być duże nawet wtedy, gdyby chodziło o redukcję cen soli. (Wpływy skarbowe z soli są trzykroć mniejsze od wpływów z cukru). Niechże wówczas to „słone obciążenie" będzie *„słone"* nietylko w przenośni ale i dosłownie, a więc pobierane na rzecz soli. Skoro bowiem ma być zakłócona słodycz starokawalerstwa, niech się to nie dzieje za sprawą... słodkiego cukru.

p. k.

[1]) Patrz Uwaga p. t. „O małą reformę". G. N. Nr 14 z dnia 15.VII.1937 r.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA W IMIENIU SPÓŁDZIELNI „GOSPODARKA NARODOWA"
JACEK RUDZIŃSKI

ADMINISTRACJA CZYNNA CODZIENNIE OD 11 DO 13

REDAKCJA I ADMINISTRACJA: NOWY ŚWIAT 37 M. 15 TELEFON 676-73 KONTO P. K. O. 25.656

PRENUMERATA KWARTALNA 4 ZŁ. 50 GR. ZAGRANICĄ 6 ZŁ. CENNIK OGŁOSZEŃ NA ŻĄDANIE.

Zakł. Graf. DRUKPRASA, N.-Świat 54. Tel. 615-56 i 242-40.